TYGODNIK OBOZOWY APW

M.p., sobota, 23 września 1944 r. Nr 26

HISTORYCZNE BŁĘDY I CUDY HISTORII

Równo cztery lata temu rozegrały się nad ziemią angielską dramatyczne wypadki, o których ówcześnie nikt nie odważyłby się powiedzieć, że przesądzają one o losach Anglii, o losach Niemiec, o losach Europy, o losach całego świata. Ale dziś wiemy już z pewnością, że beznadziejna walka samotnych rycerzy powietrznych nad Anglią we wrześniu 1940 r. i triumfalne wkraczanie wojsk amerykańskich w granice Niemiec we wrześniu 1944 r. - to dwa fakty powiązane ze sobą węzłami ścisłej przyczynowości.

Hitler uratował przed Hitlerem

"We wrześniu 1940 roku państwa Osi miały wojnę wygraną" - stwierdza kategorycznie znakomity pisarz polityczny Albert Carr. I pogląd ten potwierdza wielu - jeżeli nie większość kompetentnych rzeczoznawców wojennych.

Cała niemal Europa leżała u nóg Hitlera. Rosja wspomagała zwycięskie Niemcy. Ameryka była nieskończenie bardziej odległa od przystąpienia do wojny, niż się to dziś przypuszcza. Anglia była osamotniona, z jedną tylko Polską przy boku, od wewnątrz rozsadzana przez irredentę hinduską i arabską, z lotnictwem, wyganym z powietrza przez miażdżącą przewagę Luftwaffe, z produkcją wojenną niemal nieistniejącą. Włochy wpychały się do Egiptu. Hitler miał wszystkie drzwi na Europę i na świat naoścież otwarte. Miał w ręku złoty róg, na którym mógł zagrać pieśń zwycięstwa. Cóż mogło uratować świat przed Hitlerem? Nikt wtedy nie umiał na to odpowiedzieć.

Dziś mamy odpowiedź na to pytanie. Uratować świat przed Hitlerem mógł <u>tylko Hitler</u>. I uratował. Niewiarygodna przemiana sytuacji, jaka zaszła od września 1940 r., wynikła nie tylko z działań koalicji przeciwniemieckiej. Wynikła ona również z błędów Hitlera.

Źle jest, gdy chce się za dobrze

Dlaczego Hitler nie zaatakował Anglii po pogromie Francji? Szanse zwycięstwa niemieckiego były wówczas olbrzymie. Tak oceniali je obserwatorzy ówcześni, tak oceniał je retrospektywnie Churchill. Anglia była bez wojska, jej wybrzeża były nieumocnione, Luftwaffe panowała bezapelacyjnie nad przestworzami. To, że Niemcy nie zakończyły wówczas wojny i nie zmiażdżyły Anglii - to był wielki cud historii, nieporównanie większy niż cud nad Marną.

Gdy upojone zwycięstwem masy żołdactwa niemieckiego wyły na zdobytych brzegach Francji, Belgii, Holandii: "Dziś zdobędziemy Anglię, jutro świat cały" - Hitler, zamiast spełnić ten skromny postulat - hamletyzował. On, który tak niemiłosiernie drwił z linii Maginota, zanim sam ostatecznie nie postawił na "linię Siegfrieda", wobec słabej i samotnej Anglii nie dał zatriumfować ostatecznie swej triumfalnej doktrynie ofensywy, nie wystawił na próbę mocy obronnej Anglii. Zląkł się? Bał się narazić na niepowodzenie swój niezwyciężony dotąd oręż?

Może nie było w jego kalkulacji owych 100 proc. pewności zwycięstwa, bez których nigdy - nie wyłączając uderzenia na Rosję - swych akcyj nie przedsiębrał? Może czekał, aż mu czas dopracuje 5 czy 10 czy 20 proc. brakujące do całkowitej pewności zwycięstwa. "Od 50 lat dążyliśmy do zniszczenia Anglii - mówił pewien generał niemiecki podczas inwazji na Norwegię - i tym razem nie pozostawimy nic dziełu przypadku". Fatalny to błąd przepuścić moment, gdy zwycięstwo było więcej niż prawdopodobne, i czekać na chwilę - nigdy nie mającą nastąpić - gdy to zwycięstwo będzie stuprocentowe. Oto jak historia tworzy swe cudy.

Istnieje pogląd, który niedawno wypowiedział Churchill, a który obszernie rozwijał Kennedy ("The history of an oversight"), że Hitler dlatego nie zdobył się na inwazję Anglii, bo nie dysponował dostateczną ilością środków szybkiego transportu morskiego. Inni taktycy przeciwstawiają się temu poglądowi, twierdząc, że, o ile nie było dostatecznej ilości statków, to jednak całkowicie możliwa i wykonalna była operacja kombinowana morsko-powietrzna, pozwalająca wyzyskać ogromną obfitość środków transportu powietrznego.

Nie mamy dostatecznych elementów dla oceny słuszności każdej z tych tez. Ale jeżeli prawdą jest, że możliwość inwazji przekreślał niedostatek środków transportu morskiego - to błędem niewybaczalnym było nieprzygotowanie tych środków. Błędem niewybaczalnym było skoncentrowanie po roku 1939 całego wysiłku produkcyjnego na budowie czołgów, które miały w rok później zdobywać Rosję, i na budowie okrętów podwodnych, które - wedle obietnic admirała Roedera - miały przez blokadę zmusić Anglię do uległości.

Mimowolni sprzymierzeńcy

A po tych błędach, przez które Niemcom wymknęła się z rąk sposobność zdobycia Anglii w połowie 1940 r., w parę miesięcy

później nastąpiły dalsze błędy, które sparaliżowały możliwość wyzyskania ponownej okazji dopięcia celu.

Battle of Britain! Wspaniała i heroiczna epopea nowoczesnej Anglii! Źródło chwały na długie zapewne stulecia! Ale czyż to zwycięstwo byłoby możliwe, gdyby obrońcy wysp nie mieli potężnego sprzymierzeńca w osobie... Hitlera? W jego wszechogarniającym geniuszu szablonu, rutyny, krótkowidztwa?

Niemcy istotnie zrobili wszystko, aby ułatwić Anglikom zwycięstwo. W świetle kompetentnych ocen odsłaniają się rzeczy wręcz niewiarygodne. Pomyśleć tylko: Niemcy atakują Anglię 10 tysiącami samolotów, w tym połowa bombowców. Tej gigantycznej sile Luftwaffe przeciwstawia się niespełna 3 tysiące samolotów brytyjskich i polskich. Jedynym oparciem wątłej armii powietrznej Anglii jest wewnętrzna produkcja. Mówiąc ściślej: sześć fabryk lotniczych. Ten oto słaby, niezakamuflowany przemysł trzyma na swych barkach całe zadanie obrony powietrznej Anglii. Jego obowiązkiem jest zasilanie efektywów, kompensowanie każdej straty, wykonanie każdej reparacji. Wątłość tego potencjału produkcyjnego napotyka, zdawałoby się, na trudności nieprzezwyciężone. Całe załogi RAFu nie mogą uczestniczyć w akcji - oczekując, aż nieliczne, przeładowane pracą warsztaty zdołają dokonać niezbędnych napraw. Jeżeli przemysłowi angielskiemu udaje się ostatecznie wykonać trudne zadanie, jeżeli może - jak o nim słusznie powiedziano - wygrać bitwę o Anglię, to zasługę w tym względzie sprawiedliwie z nim dzielą - nie tylko dowództwo brytyjskie, nie tylko bohaterscy lotnicy angielscy i polscy, ale i... naczelne dowództwo niemieckie.

Zachodzą rzeczy nieprawdopodobne, choć prawdziwe. Niemcy nie przeszkadzają pracować angielskiemu przemysłowi lotniczemu. Niemiecki plan działań nie przewiduje widocznie akcji przeciw fabrykom lotniczym. Luftwaffe mogłaby zmieść z powierzchni ziemi - bo wszystkie były na powierzchni ziemi - tych sześć fabryk, znanych zapewne dobrze wywiadowi niemieckiemu. Luftwaffe tego nie czyni. Nie próbuje tego czynić. Fabryka w Yorkshire - jedyne źródło zaopatrzenia lotnictwa angielskiego w motory ciężkie - nie była ani razu bombardowana.

"Blitz" obliczony na sto lat

Luftwaffe jest zajęta czymś innym. Stara się unicestwić nie przemysł angielski, ale m o r a l e Anglików. Bombarduje centrum Londynu i dzielnice handlowe Coventry. 500 bomb spada codziennie na Londyn. Dzieło niszczenia Anglii niewątpliwie postępuje, ale, jak powiedział któryś angielski mąż stanu, stu lat by trzeba, by działania w tej skali doprowadziły do sfinalizowania tego zadania.

Z bezprzykładnie tępym pedantyzmem stosuje Hitler a Anglii metody "blitzu" powietrznego, "wypróbowane" w Polsce, Francji i Holandii. Udało się tam, powinno się udać i tu. Była jednak pewna, niemałoważna różnica. T a m działania sił powietrznych zespolone były z akcją sił naziemnych, eksploatujących efekty bombardowań. T u podjęta była próba wcielenia w życie niewypróbowanej koncepcji lotnictwa, jako czynnika, mającego samodzielnie rozstrzygnąć o losach wojny.

Prześcignięta bezmyślność

Dawno temu, jeszcze przed "wałem atlantyckim", przed "twierdzą europejską", Hitler nazwał linię Maginota (bez jej przedłużenia do morza) - "bezmyślnością, której nikt jeszcze nie prześcignął i nikt już nie prześcignie". Co do przeszłości miał może słuszność. Co do przyszłości zdaje się jednak, że się omylił. Nie docenił własnych możliwości. Ciekawe, jak by u tego surowego krytyka wypadła ocena takiej koncepcji strategicznej: nie atakować przemysłu, jedynego źródła wątłych sił przeciwnika - zużywać własne potężne środki na "łamanie ducha". Czyż wobec tego idea linii Maginota - nawet bez jej przedłużenia do morza - nie wydaje się zupełnie zdrową koncepcją?

Hitler zorientował się w końcu co do błędności swojej strategii powietrznej. W roku 1941 chciał odrobić popełniony błąd, chciał zwyciężyć Anglię przez atakowanie jej podstaw przemysłowych. To był także błąd. Bo wtedy działał już Lend-Lease, zaopatrujący Anglików w masy sprzętu lotniczego, na wyspach pracował już silnie rozbudowany, gruntownie zdecentralizowany i odpowiednio zakamuflowany przemysł lotniczy. Ponadto siła Luftwaffe bardzo już stępiała w wyniku długotrwałego "łamania ducha" Anglików.

Polacy wypełnili traktat

Hitler popełnił błędy ciężkie i niewybaczalne. Ale to w niczym nie umniejsza nieśmiertelnej zasługi bohaterów "Bitwy o Anglię", w której Polacy tak wybitną odegrali rolę. O tej roli pięknie i słusznie powiedział parlamentarzysta i pisarz angielski, Harold Nicholson:

"Dopiero polskie samoloty, spadające z nieba i roztrzaskujące się na płonącej ziemi brytyjskiej, dały nieśmiertelne świadectwo faktowi, że martwe litery traktatu stały się żywą i krwią ociekającą rzeczywistością. Ale to było j e d n o s t r o n n e wypełnienie układu. Honor brytyjski nie pozwoli, by takim zostało."

mmmmmmmmmmmmmm

"NAM STARCZY D U C H A" Przesłany ze stolicy na falach eteru wstrząsający wiersz powstańców odmalowuje chyba najlepiej atmosferę, która wytworzyła się w Warszawie po miesiącu samotnej, nie wspieranej niemal przez nikogo walki. Wiersz to nie zniechęcenia lecz siły, nie lamentu lecz wyzwania, nie bólu lecz dumy, nie skargi lecz oskarżenia

i nie wdzięczności lecz pogardy w stosunku do tych na emigracji polskiej, którzy prowadząc politykę na p o k a z znajdują w wypadkach warszawskich jedynie nowy temat, nadający się do oklaskiwania przez siebie i przez obcych, a nie czyn i kapitał polityczny. Warto przytoczyć te zwrotki i warto nad nimi zastanowić się przez chwilę:

"Tu, na mogile, leżą czapki na bakier,
Tu u nas, nikt nie płacze w walczącej Warszawie...
Tu się Prusakom siada na kark okrakiem
I wroga gołą pięścią za gardło się dławi.
A wy tam wciąż śpiewacie, że "z kurzem krwi bratniej"
I że "z dymem pożarów" niszczeje Warszawa.
A my tu nagą piersią na strzały armatnie
I uśmiechem na wasz podziw i na wasze brawa.
Czemu w dalekich stronach śpiewacie w Londynie,
Gdy tu nadeszło wreszcie wyglądane święto?
Tu małe dzieci walczą, krew radośnie płynie,
U boku swoich chłopców walczą tu dziewczęta.
Tu bije serce Polski. Tu mówi Warszawa.
Niech pogrzebowe pieśni znikną z audycji.
Nam ducha starczy dla nas. I starczy go dla was.
Oklasków też nie trzeba. Trzeba amunicji."

Co oznacza ów wiersz bojowy, w kurzu i w męce wojennej zrodzony? Czego jest wyrazem? Czy tylko naturalnego rozdźwięku, który powstaje zawsze między grupą, walczącą w wyjątkowych warunkach, a tymi, którzy w walkach tych nie uczestniczyli? Czy jest to tylko rozbrat między frontem a tyłami? Byłoby dużą nieoględnością w sposób tak powierzchowny tłumaczyć sobie owe zwrotki, dostatecznie wymowne i przekonywujące. Należy sięgnąć głębiej i śmiało rozciąć tworzący się wrzód. W Warszawie i w Polsce w wyniku dramatycznych i nieoczekiwanych doświadczeń ostatniego miesiąca, które kobiety warszawskie w odezwie do świata nazwały "jednym z największych skandali międzynarodowych", zaczęła rodzić się niechęć zarówno do niektórych aliantów jak i do tego odłamu emigracji, który w mniemaniu warszawskich powstańców przestał rozumieć ducha stolicy, a ponadto nie zdał egzaminu, nie zapewniwszy walczącej Armii Krajowej należnej pomocy i nie stworzywszy dla niej możliwie najlepszych warunków walki.

Londyńska emigracja polityczna od dłuższego już czasu - oczywiście z chwalebnymi wyjątkami - zaczęła odrywać się od nurtu, w którym płynie życie walczącego narodu. Pęd tego życia, jego styl wyniosły i hardy był świadomie lekceważony przez niektóre koła emigracyjne, uginające się za to z nadmierną uległością pod naciskiem takich czy innych oskarżeń czy nawet poleceń czynników obcych.

W środowiskach tych zaczęło się wytwarzać lekkomyślne mniemanie, że żołnierz nasz walczy na p o k a z, by dostarczyć argumentów propagandowych dla polityki, opartej na przekonaniu, że Polskę odzyskamy wówczas, gdy z a s ł u ż y m y się to tym, to innym potentatom. Z chwilą więc, gdy powstańcy warszawscy - bez względu na dalsze następstwa ich kroku - stworzyli sytuację, mogącą budzić podziw czy współczucie świata, spełnili w pojęciu owych kół emigracyjnych swe zadanie.

Tymczasem żołnierz polski, zarówno tu we Włoszech jak i we Francji czy w Kraju, nie walczy na pokaz i z walk swych przedstawienia robić nie zamierza. Chce on, by zmagania jego traktowano poważnie. Przez bój swój twardy, nieugięty, bezprzykładny, chce on przede wszystkim wyrazić bezkompromisową w o l ę p o l i t y c z n ą i osiągnąć konkretne cele p a ń s t w o w e. Jego czyny bojowe mają być nie błyskotliwymi epizodami dla zapełniania anegdotami łamów pism obcych (co zresztą nie zawsze się dzieje) ale logicznie powiązanymi o g n i w a m i łańcucha, przy którego pomocy chcemy wydźwignąć wolność Rzeczypospolitej.

Postawę tę wyraża wiersz walczącej Warszawy. Jest on przede wszystkim wyrazem nieugiętego jej ducha, jej stanowiska b e z k o m p r o m i s o w e g o w najczystszej, idealnej postaci. Warszawa po raz drugi poświęciła się w obronie kraju, nie dlatego, by zbierać brawa, lecz by w o l n o ś ć p a ń s t w a nie uległa skażeniu. Żaden kompromis, żadna słabość, żadne łajdactwo, a tym bardziej żadna zdrada nie wydobyłyby ze stolicy siły nadludzkiej, hartu nadziemskiego, woli ponadczłowieczej.

Naszym obowiązkiem na emigracji jest reprezentowanie tego samego stanowiska. Kto tego nei czyni, kto tego zrozumieć nie chce, przestaje być wyrazicielem ducha narodu. Naraża się na to, że mu Warszawa odpowie conajmniej szyderczym "śmiechem", który przebija z anonimowego wiersza powstańców.

Podobną wolę upartą reprezentuje żołnierz polski we Włoszech, we Francji, walcząc na morzu i w powietrzu, dając z siebie wszystko w walce z wrogiem, gdziekolwiek może się z nim zmierzyć. Ale dlatego, że tak jest, powstaje rozdźwięk między walczącymi, a tymi, którzy rozumują i postępują inaczej. Rozdźwięk tym niebezpieczniejszy, że może być podchwycony przez czynniki obce, które już usiłują wykorzystać g o r y c z, jaka powstaje w Warszawie z powodu braku pomocy i zrozumienia dla jej stanowiska.

Powstanie Warszawy jest b o w i e m nie tylko czynem wojskowym, ale również p o l i t y c z n y m na wyjątkową miarę. Niezależnie od tego, co jeszcze nastąpi i jakie nowe okoliczności ujawnią się w związku z walką stolicy, dwa co najmniej

wnioski polityczne *winny być rzucone na forum międzynarodowe*: kompromitacja samozwańczego "Komitetu Wyzwolenia" i zdemaskowanie stanowiska Rosji.

Powstanie w Warszawie ujawniło niemoc, wprost nieobecność na terenie kraju czynników, reprezentowanych w osławionym "Komitecie Wyzwolenia". Wybuchu w Warszawie nie organizowały siły komitetu. Okazało się, że w żywotnych sprawach narodowych, gdy chodzi o samodzielne decyzje, nie ma on *nic* do powiedzenia. Jest fikcją, istniejącą jedynie z woli obcych. Tak był zresztą oceniany jednomyślnie przez całą opinię polską nie wyłączając Polskiej Agencji Telegraficznej, dopóki z grupą tą p. Mikołajczyk nie wdał się w pertraktacje jak z równorzędnym sobie czynnikiem. Powstanie w Warszawie wykazało zatem nie tylko szkodliwość, ale i absurdalność rozmów z indywiduami, które nie reprezentują żadnej istotnej siły polskiej.

Podobną rolę bezwolnych narzędzi w rękach obcych odgrywają owe "dywizje" polskie, utworzone przez armię czerwoną. Nie wątpimy o uczuciach, które ożywiają Polaków, wtłoczonych na niższych stopniach w szeregi tych wojsk. Ale oblicze dowództw owych "dywizji" uległo ostatecznemu zdemaskowaniu z chwilą, gdy ani jedna z nich nie zdobyła się na zerwanie pęt sowieckich, by podążyć na pomoc Warszawie, by choćby gestem rozpaczy zamanifestować swą solidarność z walczącą stolicą. Oddział naprawdę polski, a nie najemny, gdyby znajdował się tak blisko Warszawy, jak owe "dywizje", nie patrzałby bezczynnie na bój nierówny, który wstrząsnął do głębi sercami istotnie polskimi. "Dywizje" polskie w Rosji nie przeszły zwycięsko tej pierwszej próby patriotyzmu bez cudzysłowu. Egzamin nie został zdany. Dywizje te, a ściśle mówiąc ich dowództwa, nie stoją bowiem na straży interesu polskiego, lecz obcego. Są polskimi tylko z imienia.

I wreszcie jest Rosja. Cynizm jej postawy osiągnął tym razem szczyty bezwstydu. Stanowisko jej może jednak zdumiewać tych tylko, którzy albo żyli złudzeniami, utrzymując w złudzeniach opinię kraju, albo też stosowali metodę samooszukiwania. My złudzeń nie mieliśmy. Od czasu wydania jeszcze w Iraku przez gen. Władysława Andersa historycznego rozkazu z dnia 4 marca 1943 r. wskazywaliśmy konsekwentnie na konsekwentnie również rozwijaną taktykę Rosji wobec Europy, wobec aliantów anglosaskich i wobec Polski. Staraliśmy się otwierać wszystkim oczy, narażając się wielokrotnie na niezrozumienie, przykrości i zarzuty, choć wypadki niestety przyznawały stale słuszność nam, a nie naiwnym zaślepieńcom, czy też ludziom złej woli, którzy swe szkodliwe rojenia starali się przeszczepić krajowi, wywołując tam najpierw niebezpieczne złudzenia, a obecnie straszliwe rozczarowania.

W audycji radia warszawskiego Armii Krajowej z dnia 24 sierpnia, po wyrażeniu wdzięczności lotnikom angielskim, południowo-afrykańskim i polskim za pomoc, dostarczoną Warszawie, speaker zapytywał:

"Powstaje pytanie, na które nie mamy odpowiedzi. Dlaczego nie mamy pomocy ze strony, która mogłaby ją nam dać z łatwością w dostatecznych ilościach? Dlaczego nie otrzymaliśmy pomocy od armii sowieckiej, znajdującej się nie dalej jak o niecałe dwadzieścia kilometrów? Dlaczego ani jeden myśliwiec nie wyleciał z pobliskich sowieckich lotnisk, aby nas obronić przed gradem bomb rzucanych na nas przez Luftwaffe? Dlaczego sowieckie samoloty nie zrzuciły ani jednej bomby na niemieckie bazy Warszawy? Dlaczego Rosjanie nie przysłali ani jednego karabinu, ani jednego granatu ręcznego?"

Dlaczego? Ależ drodzy, kochani, najlepsi bracia i koledzy! To wszystko było do przewidzenia, to wszystko było jasne dla tych, którzy się nie łudzili i nie łudzą. I dziś nie omyliśmy się chyba, przewidując, że Rosjanie ruszą naprawdę na Warszawę dopiero po krwawym stłumieniu powstania przez Niemców i rozbiciu przez nich polskiej organizacji bojowej. Tym powstańcom którzy pozostaną przy życiu, zagrożono przecież w Rosji zgóry sądami sowieckimi. W sprawach Polski jak i w sprawie jej granic nie *obowiązuje* wszak nadal w *praktyce* układ Ribbentrop-Mołotow.

Powstają jednak inne pytania. Czym jest obóz zjednoczonych narodów? Co on wyraża? Jakie są prawa i obowiązki jego członków? Czy dzieli się on na sojuszników posiadających tylko obowiązki i na tych, którzy mają tylko prawa? Czy jedni są obowiązani do udzielania pomocy znajdującym się w potrzebie, a inni od pomocy tej są zwolnieni?

Rodzą się dalsze pytania. Jakie właściwie decyzje zapadły na konferencjach w Moskwie i Teheranie w roku zeszłym? Czy to, co dzieje się teraz w Polsce i w Warszawie jest zgodne z tymi postanowieniami? Czy W. Brytania i Stany Zjednoczone wiedziały, że tak się stanie? Czy Rosja otrzymała w Polsce wolną rękę? Czy za olbrzymią pomoc, udzielaną Rosji przez Anglosasów w sprzęcie a przez Polskę krwią, nie są Sowiety do niczego zobowiązane? Czy Wielka Brytania i Stany Zjednoczone zgodziły się, by w wyniku tej wojny Polska została gorzej potraktowana niż choćby Włochy, którym premier Churchill okazał ostatnio tyle względów, udzielając im wskazań, jak winno być urządzane państwo demokratyczne, wkazań diametralnie sprzecznych z tymi, które Rosja zamierza realizować w Polsce i w Europie wschodniej? A zatem, czy Polska w oczach Rosji, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych jest równouprawnionym członkiem obozu sojuszniczego, czy też ma być gorzej potraktowana niż Rumunia i Finlandia?

Ileż to wymagano od Polski ofiar i upokorzeń w imię s o l i d a r n o ś c i obozu narodów zjednoczonych. Dziś, gdy solidarność ta winna obrócić się wreszcie na korzyść naszego kraju, okazało się, że solidarności tej nie ma.

Pytania te wysuwają się coraz natarczywiej nie tylko wśród nas Polaków, ale w całej opinii światowej. Pytań tych nie da się stłumić. Dalsze ich wstydliwe przemilczanie do niczego już nie doprowadzi. Warszawa jest k r w a w ą raną nie tylko na ciele Polski, ale obozu narodów Sprzymierzonych. W chwili, gdy obóz ten dochodzi do zwycięstwa, zadano mu nie w Warszawie, ale p o d Warszawą cios, który zwycięstwo gotów zamienić w k l ę s k ę.

Rząd polski, który poza apelami o pomoc dla Warszawy nie zajął w tej sprawie żadnego p o l i t y c z n e g o stanowiska, winien ze swej strony również przerwać milczenie, ogłaszając w szczególności wszystkie dostępne mu dokumenty z dziedziny stosunków polsko-sowieckich, a zwłaszcza z okresu konferencji moskiewskiej i teherańskiej. Prawdy o tych sprawach domaga się kraj, który dziś dopiero w najbardziej tragicznych okolicznościach zaczyna, zdaje się, pojmować istotę naszego położenia. Prawdy domagamy się również my. Czas już, by rzeczywistości spojrzeć prosto w oczy i nie ulęc się jej.

"Nam ducha starczy dla nas. I starczy go dla was" - powtarzamy za Warszawą. Tak jest, trzeba nam wielkiego ducha, by udźwignąć ciężar epokowych wydarzeń, które w nas biją, by sprostać zadaniom, których żadne bodaj pokolenie nie miało do rozwiązania, by stanąć na wysokości wymagań czasów obecnych. Metoda łamańców taktycznych, nędznych kompromisów, ubogich wybiegów i chowania głowy w piasek, tak niezgodna ze stylem epoki, kosztowała nas zbyt wiele, by mogła się dłużej utrzymać. Metodę tę potępiła Warszawa swym wierszem wyzywającym i ostrym jak szpada. A nadszedł już czas, by szpadę sięgć w zody.

("Orzeł Biały", Nr 28/118/)

IIIIIIIIIIIIIIIIIIII

GRA NA LINII WASZYNGTON-MOSKWA

Od chwili, kiedy coraz mniej wstydliwie ujawniane są zamiary zbudowania powojennego prządku światowego na zasadzie supremacji 3 wielkich mocarstw, światowa publicystyka polityczna zajmuje się badaniem stosunków, jakie istniały w przeszłości, i problemów, jakie mogą powstać w przyszłości między poszczególnymi członkami Wielkiego Trójkąta. O problemach politycznych brytyjsko-amerykańskich napisano w ostatnich latach tysiące i dziesiątki tysięcy mniej lub więcej obszernych rozpraw. Literatura stosunków brytyjsko-rosyjskich ilościowo stara się dogonić literaturę na poprzedni temat. Stosunkowo najmniej uwagi poświęcano dotychczas zagadnieniom amerykańsko-sowieckim. Ostatnio jednak ukazało się w Stanach Zjednoczonych kilka prac na ten temat, których konkluzje są identyczne i mogą być przyjęte za wykładnik polityki amerykańskiej w stosunku do Sowietów w przyszłości.

W amerykańskiej literaturze politycznej powszechnie nazywa się Rosję "jedynym wielkim mocarstwem, które nie było nigdy w stanie wojny ze Stanami Zjednoczonymi." Geneza tego faktu jest bardzo prosta, bo zamyka się w stwierdzeniu: Brak sprzecznych interesów.

Ta okoliczność powstała niegdyś przede wszystkim na skutek oddalenia geograficznego, tak znacznego, że powodowało ono w przeszłości brak jakiegokolwiek zainteresowania. Dwa lata spędził poseł amerykański w Petersburgu, i nigdy nie doczekał się przyjęcia przez Katarzynę II, która nie chciała uznać młodej republiki amerykańskiej. Dwadzieścia pięć lat później uznał ją Aleksander I, ale senat amerykański nie zgodził się na delegowanie posła do Rosji.

Powoli jednak ten brak zainteresowania przeradza się w pewną łączność w obliczu wspólnych przeciwników. Zarówno w wieku XIX jak i XX zasadniczym motywem polityki Stanów Zjednoczonych była obawa przed mocarstwem, które miało ambicje wyłącznego panowania nad Atlantykiem. Mocarstwem takim była do końca XIX wieku Wielka Brytania, a od tego czasu aż po dzień dzisiejszy - Niemcy. Jednocześnie tak się złożyło, że głównymi rywalami Rosji na kontynencie eurazjatyckim była w wieku XIX Anglia, a w wieku XX - Niemcy. Z tych to motywów powstała owa pewna równoległość zadań politycznych, która spowodowała, że mimo wzajemnej niechęci, wywołanej zupełną odmiennością ustrojów wewnętrznych, - zarówno w pierwszej jak i w drugiej wojnie światowej Stany Zjednoczone i Rosja znalazły się w jednym obozie.

Po takiej analizie przeszłości stosunków sowiecko-amerykańskich - jakież są przewidywania co do ułożenia się tych stosunków w przyszłości?

Wraz z rozgromieniem Niemiec hitlerowskich na długo zapewne zniknie z powierzchni mocarstwo, mające ambicje supremacji na Atlantyku. Przerywa to nić wspólnych zainteresowań amerykańsko-sowieckich. Ale to nie stwarza jeszcze sprzeczności interesów. Wielu pisarzy amerykańskich (m.inn. Walter Lippmann, o którego książce już pisaliśmy) uważa, że ta sprzeczność interesów może powstać dopiero wtedy, kiedy Rosja znajdzie się w konflikcie z państwami zachodniej Europy, czyli t.zw. Wspólnoty Atlantyckiej.

Stosunki rosyjsko-amerykańskie nie regulują się jednak wyłącznie zainteresowaniami tych mocarstw w Europie. Rosja i Stany Zjednoczone spotykają się również, a może przede wszystkim, na Dalekim Wschodzie.

Już w końcu wieku XIX interesy amerykańskie i rosyjskie skrzyżowały się właśnie

tam. Stany Zjednoczone, bojąc się rosyjskiej ekspansji w Mandżurii, Korei i Chinach, w roku 1904 popierały Japonię w jej wojnie z Rosją. Ale wraz z klęską Rosji imperializm jej został zahamowany, i polityka amerykańska zwróciła się przeciw nowej potędze, mającej ambicje zapanowania nad Pacyfikiem - przeciw Japonii.

Z tej genezy narodziła się ta polityka amerykańska, której kontynuację widzimy do dnia dzisiejszego. Ta polityka wyznaczyła na Dalekim Wschodzie Rosji również poczesne miejsce, jako "sojusznikowi na tyłach naszego wroga." Niestety trudno przewidzieć, aby ta fascynująca formuła wprowadzona została w życie - zaprzecza jej neutralność Sowietów w obecnej wojnie na Dalekim Wschodzie. Ale gdyby nawet tak zasadniczy fakt nie podważył tej dewizy, to przestałaby ona i tak obowiązywać po wojnie. Po klęsce bowiem Japonii Rosja nie będzie Stanom Zjednoczonym potrzebna jako "potencjalny sojusznik".

Ponieważ Stany Zjednoczone nie mają takiego bastionu w Azji, jakim w Europie jest Wielka Brytania i kraje Wspólnoty Atlantyckiej, są one o wiele bardziej zainteresowane w równowadze sił na kontynencie azjatyckim. Tę stabilizację chcą Stany Zjednoczone osiągnąć przez popieranie Chin, co jednocześnie łączy się z dominującą w polityce amerykańskiej troską o zapewnienie sobie rynków zbytu.

Ale Sowietom bynajmniej nie zależy na tym, by Chiny stały się nowoczesnym mocarstwem. Moskwa obawia się, że współdziałanie Stanów Zjednoczonych z Chinami odepchnie Rosję od Oceanu Spokojnego i zagrozi bezpieczeństwo całej Syberii. Często pojawiające się ostatnio w prasie amerykańskiej artykuły o leżących odłogiem bogactwach naturalnych tych terenów wywołują duże zaniepokojenie w sowieckich kołach politycznych. To też Moskwa nie tylko nie życzy sobie szybkiego zakończenia wojny na Dalekim Wschodzie, ale również nie chce zupełnej klęski Japonii.

Wistocie Sowiety prowadzą wobec Japonii taką politykę, jaką prowadziły wobec Niemiec w okresie obowiązywania paktu Ribbentrop-Mołotow, t.j. przychylnej neutralności. To też nadzieje, żywione przez pewne czynniki amerykańskie, że Rosja po zakończeniu wojny w Europie da się nakłonić do wystąpienia przeciw Japonii, mogą okazać się płonne.

Pogłębiłoby to jeszcze bardziej widoczne już dziś sprzeczności interesów obydwu mocarstw na Dalekim Wschodzie i podważyłoby fikcję harmonijnej współpracy Wielkiej Trójki, która by miała być rzekomo kamieniem węgielnym świata powojennego. Wistocie bowiem wydaje się, że ta harmonia pryśnie jeszcze zanim umilknie w całym świecie szczęk oręża.

<u>FAKTY KTÓRYCH NIC NIE ZACIEMNI</u>

W chwili obecnej, kiedy prawda o stosunku Rosji Sowieckiej do Polski zaciemniana jest nie tylko przez propagandę Moskwy, niezrozumienie tych spraw u naszych sojuszników, ale i przez błędy naszej polityki - trzeba uprzytomnić sobie i innym następujące bezsporne fakty.

1° Dnia 17 września 1939 r. Sowiety złamały pakt o nieagresji i wespół z Niemcami wzięły udział w rozbiorze Polski. Pan Mołotow oświadczył przytem unisono z Hitlerem, że nigdy już więcej nie odrodzi się "odrażający twór traktatu wersalskiego, jakim jest państwo polskie".

2° Wiosną 1943 r. Sowiety zerwały istniejące w tym momencie stosunki dyplomatyczne z Polską. Uczyniły to bez żadnej przyczyny, obrzuciły przytem stekiem oszczerstw rząd polski. Odtąd legalny rząd polski nie jest uznawany przez Sowiety.

3° Sowiety stoją na stanowisku, że połowa terytorium polskiego i trzecia część ludności Rzeczypospolitej powinny przypaść Rosji. Tę politykę Sowiety realizują, ustalając <u>swoją</u> administrację na okupowanych przez siebie terenach polskich. Tak więc już po raz trzeci w ciągu ćwierćwiecza Sowiety dokonywują zbrojnego najazdu na Polskę w celach faktycznie zaborczych.

4° Sowiety ingerują bezprawnie w wewnętrzne sprawy Polski, żądając bądź bezpośrednio, bądź przez agentury swoje, zmiany konstytucji oraz usuwania jednych i wprowadzania innych osób w związku z zalecanym przez nie "odfaszyzowaniem" "uchodźczego" rządu polskiego i wojska.

5° Sowiety aresztowały 17 lipca 1944 r. polskie sztaby okręgowe na Wileńszczyźnie a 25 lipca zaczęły rozbrajać 27 D.P., która poprzednio stoczyła zwycięskie walki z Niemcami pod Kockiem i Lubartowem. Dnia 10.VIII nadszedł meldunek z Lublina, że Komendant okręgu i dca zgrupowania 3 D.P. zostali internowani przez Sowiety. Były też - dużo wcześniej - wypadki rozstrzeliwania przez Sowiety oficerów i żołnierzy Podziemnej Armii Polskiej.

6° Sowiety, mając pełną i łatwą możność udzielenia Warszawie wydatnej pomocy, nie tylko przez 45 dni nie czyniły tego same, ale, co więcej, uniemożliwiały Sprzymierzonym niesienie ratunku ginącej Warszawie. Jest to akt wyraźnie wrogi w stosunku do Polski.

7° Takim samym aktem wrogim jest ponowne wywożenie ludzi z ziem wschodnich, znów dostających się pod okupację sowiecką.
